



**MAM WSPANIAŁEGO
ZBAWICIELA**

Samolot towarowy niby olbrzymi ptak leci pośród ciemnych chmur. Ogromne motory ryczą podczas szalejącej burzy, która nieustannie usiłuje zepchnąć maszynę z obranego kursu. Grad uderza, bębniąc po kadłubie.

– Psia pogada – mruczy Dick, mechanik pokładowy. – Prognoza meteorologów znowu się nie sprawdziła! Czy choć wspomnieli o burzy śnieżnej?

– Ludzie nie są przecież wszechwiedzący! – odpowiada Fred, radiotelegrafista.

– Słusznie, lecz trzeba być w ciemni bitym, aby nie przewidzieć takiej burzy.

– Ty wszystko widzisz w czarnych kolorach.

– Tak uważasz? Poczekaj tylko, aż z połamanymi rękoma i nogami wypełzniemy spod zwalisk tego pudła. Wtedy będziesz inaczej mówił!

– Stary zrzęda – śmieje się Fred. – Już nieraz przeżyliśmy taką burzę i czy kiedyś źle się to skończyło? Jeszcze kilka godzin, a znów będziemy wolni. Wtedy wygodnie usiądziesz przy ciepłym piecu i weźmiesz na kolana swą małą córeczkę, która będzie ci śpiewała kolędy.

– Nie mamy takiego zwyczaju – mruczy Dick. – Pokój na ziemi, ha, ha! Pokój! Ludzie wszędzie się zabijają, a w tej samej chwili tysiące siedzi w ciepłe i śpie-

wa, spoglądając pobożnie na dzieciątko w żłobku.

– A więc uważasz to za zbyt uczynne?

– Tak – odparł Dick opryskliwie, spoglądając uparczywie na przyrzędy pokładowe.

– Możliwe, że będziesz uważał to pytanie za zbyt śmiałe i pomyślisz, że nie powinno mnie to nic obchodzić - rozpoczyna Fred niezdecydowanie - ale powiedz mi, dlaczego jesteś tak wrogo nastawiony wobec wszystkiego, co ma związek z chrześcijaństwem?

– Ach, nie chcę teraz o tym mówić.

– Dlaczego nie?

– Nie mam nic przeciwko ludziom, którzy są chrześcijanami. Lecz brzydzą mnie ci, którzy mówią, że są nimi, a ich postępowanie dowodzi czegoś innego. Nie gniewaj się, Fred, ale sądzę, że istnieją tylko tacy chrześcijanie. Ja przynajmniej jeszcze innych nie spotkałem.

– Tak, ale...

– O, już wiem, co chcesz powiedzieć. Chrześcijanie są ostatecznie także tylko ludźmi, czyż nie? To już często słyszałem. W ten sposób stwierdzacie, że praktycznie między wierzącymi a niewierzącymi nie ma żadnej różnicy. Tylko w niedzielę, kiedy jeden idzie do kościoła, a drugi do kina. A jeśli na tym polega cała różnica...!

– Nie, tu wielu krzywdzisz. Są i tacy, którzy żyją rzeczywiście według zasad swej wiary.

– Zaszywają się więc gdzieś głęboko, gdy znajdują się blisko nich, bo nigdy jeszcze żadnego nie spotkałem!

– Możliwie, że nigdy ich nie szukałeś!

– Słuchaj, Fred – powiedział Dick całkiem poważnie – nie musimy sobie nic wmawiać. Każdy człowiek chciałby być szczęśliwy. Każdy szuka punktu oparcia w swoim życiu. Ja też. Lecz jak się przekonać, że Bóg może uczynić mnie szczęśliwym? To przecież muszę najpierw widzieć u ludzi, którzy mówią, że Mu ufają. Wskaż mi choć jednego człowieka, który tak żyje!

Zamilkli. Fred nie wiedział, co ma jeszcze dodać. W tym, co Dick powiedział, było dużo prawdy. Lecz mechanik nie miał do końca racji. Co ma Dickowi odpowiedzieć? Wystarczy tylko spojrzeć na siebie, aby przekonać się, że nie należy do tych ludzi, których mechanik chciałby słuchać. O nie, stanowczo nie jest on wzorem kogoś, kto mocno ufa Bogu.

– Pomówmy o czymś innym – przerywa milczenie Dick. – Pokażę ci, co kupiłem dla mojej córeczki.

Szuka czegoś w swojej torbie i po chwili wyjmuje z niej małą lalkę.

– Zabawna – mówi Fred. Jednak niedawna rozmowa nie daje mu spokoju.

- Patrz, ona potrafi biegać. Można ją nakręcać.
- Z pewnością wiele kosztowała.
- Podoba mi się, zresztą... Nagle urywa.
- Co się dzieje? – pyta Fred.

Dick nie odpowiada. Pełen napięcia spogląda na przyrządy, nieruchomo siedząc z lalką w ręku.

Bill, drugi pilot, podchodzi do nich. Jego twarz jest poważna.

- Tracimy wysokość! – mówi Dick.

- Tak, wydaje się, że ster wysokościowy nie jest w porządku i coraz trudniej nad nim zapanować. Bill znów idzie do przodu i pozostawia dwóch mężczyzn w ponurym milczeniu. Nieco później Fred otrzymuje polecenie, aby spróbował połączyć się z ziemią. Fred nieprzerwanie wysyła sygnały. Pot pojawia się na jego czole, gdy spostrzega, że do najbliższego lotniska mają co najmniej półtorej godziny drogi. Dick idzie do przodu i omawia sytuację z obu pilotami. Bob, pierwszy pilot, każe oświetlić ziemię ruchomym reflektorem, lecz wiązka promieni gubi się we mgle. Widoczność jest bardzo zła. Przy takiej pogodzie znalezienie odpowiedniego lądowiska wydaje się niemożliwością.

- Idź na swoje miejsce, Dick – rozkazuje Bob.
- I przygotuj się do lądowania.

– To oznacza: Przygotuj się na śmierć – mruczy Dick. – Nie lecę po raz pierwszy. Nie mamy żadnej szansy, aby bezpiecznie wylądować na ziemi.

– To się okaże. Idź teraz na swoje miejsce! Dick udaje się do tyłu, aby poinformować Freda o ich położeniu. Radiotelegrafista ciągle jeszcze wysyła sygnały. Niby krzyk rozpaczy brzmi jego wołanie o pomoc w tę sztormową noc, lecz nie może połączyć się z ziemią.

Ale jego wołanie o pomoc słyszane jest w niebie. Z pozornym spokojem Dick powiadamia swego kolegę, jak wygląda sytuacja.

– To... jest więc koniec – szepce Fred ochryple. Od ruchowo manipuluje przy sprzęcie radiowym, a przez przez jego głowę przelatują różne myśli.

– Tak, to jest prawdopodobnie koniec, Fred. Lecz nie wierzę, żeby miało być aż tak źle! Jedno uderzenie i po wszystkim.

– O, nie, to nie wszystko! Ty i ja będziemy musieli stanąć przed Bogiem – odpowiada Fred.

– To strach – odparł mu Dick – strach przed śmiercią, każe ci tak myśleć!

– A czy ty się nie boisz?

– Fred – mówi nagle Dick, a jego głos brzmi o wiele mniej zarozumiale niż zwykle – nie chciałem cię zranić... możliwe, że ty masz Jego...

– Co mam? – pyta cicho Fred, lecz Dick potrząsa głową i znów milknie.

Na przodzie pokładu siedzą piloci. Bob bez przerwy patrzy przez okno kabiny. Jego bystre spojrzenie próbuje przeniknąć ciemności, a mocne ręce drżą, obejmując ster.

– Myślisz, że jeszcze istnieje możliwość bezpiecznego wylądowania? – pyta Bill.

– U Boga każda rzecz jest możliwa – odpowiada spokojnie komendant.

– Bob – mówi Bill – ty zawsze niewiele mówiłeś, mieliśmy wrażenie, że jesteś żelaznym człowiekiem. Czy tak jest? Powiedz szczerze, nie boisz się?

Bob zawahał się chwilę, potem powiedział: – Tak, ja też się boję, lecz wiem, że Bóg mnie nie opuści.

Nagle poprzez mgłę zobaczyli w świetle reflektora pieniającą się wodę jakiejś rzeki. Wytężając wszystkie siły, Bob starał się utrzymać maszynę w równowadze. Aż do ostatniej chwili usiłował zapobiec tragedii. Jeszcze chwila, a potem z potężnym hukiem maszyna uderzyła w wodę.

Dick ocknął się pierwszy. Zdumiony zaczął rozglądać się wokoło, usiłując przypomnieć sobie, co się stało. Pamiętał, że odciął dopływ benzyny. Lecz co było później? Runęli w dół! On jednak żyje. Przez rozerwa-

ny kadłub do środka wdzierają się woda. Gdy próbował rozpiąć pas bezpieczeństwa, pojawił się Bill.

– Co ci jest, Dick? – zapytał.

– Nie wiem. Przypuszczalnie nic. Mogę poruszać rękami i nogami.

– Przeczolągaliśmy się przez ucho igielne...

Jak tylko Dick się wydostał, zajęli się Fredem. Wyglądało, że nic mu nie dolega i wkrótce odzyskał przytomność.

W trzech dobrnęli do kabiny, gdzie Bob nieprzytomnie zwisał z fotela. Jedno ramię miał złamane. Ostrożnie go podnieśli i zabrali do tyłu. Woda podnosiła się i już był najwyższy czas, by opuścić samolot. Przez drzwi w kadłubie wydostali się na zewnątrz i schronili na lewym skrzydle. Przeróżliwie zimny wiatr przenikał przez ich mokre ubrania.

Jak długo będą mogli tu pozostać? Dwadzieścia minut, może pół godziny? Bill wystrzelił raketę. Czy ktokolwiek ją zobaczy? A jeśli nawet, to czy odważy się przy takiej pogodzie wypłynąć na rzekę? Centymetr po centymetrze maszyna zanurzała się coraz głębiej w pieniającą się wodę.

– Nie wytrzymamy długo – mówi Dick.

– Pozwólcie, że wystrzelę jeszcze jedną raketę.

Bill podał mu ją do ręki i Dick strzelił. Rakietą

mknęła jak ognista smuga po ciemnym niebie. W tym momencie mocniejszy poryw wiatru spowodował, że Dick stracił równowagę i runął do wody.

Pozostali z przerażeniem patrzyli, jak unosi go rwąca rzeka. Usłyszeli jeszcze okrzyk trwogi, przenikający ryczącą burzę:

– Pomocy! O, Boże!

Czyż Bóg nie wysłucha duszy w potrzebie? Dick bezładnie uderza ramionami wkoło siebie, walcząc z siłami, które chcą go zniszczyć. Odczuwa grozę śmierci, która otacza go ze wszystkich stron. Chce żyć! Żyć! Dla żony i dla Dolly. Podejmuje jeszcze jedną próbę i w końcu znajduje oparcie! Strumień z powrotem zapędził go do ogona samolotu. Wytężając wszystkie siły, Dick próbuje podnieść się i uchwycić rękoma krawędź ogona. Do połowy jest zanurzony w wodzie, a burzliwe fale szamocą nim. Przecież żyje, lecz jak długo jeszcze wytrzyma? Czyż nie lepiej byłoby dać się porwać przez strumień?

O nie, gdyż właśnie ogarnął go strach, strach przed śmiercią! Właśnie teraz, kiedy otaczają go wody ciemne jak grób, gdy śmierć jest tuż, tuż. O nie, nie może umrzeć! Zdaje sobie sprawę z tego, że musiałby stanąć przed Bogiem, a tego się boi. Teraz, gdy śmierć jest tak blisko, jest o tym przekonany. Widzi, jak koledzy na

skrzydła ciągle wystrzeliwiają rakiety. Skostniałe ręce Dicka wpijają się jak śruby w krawędź ogona. Nie chce umrzeć, czuje jednak, że brak mu już sił, aby utrzymać się na powierzchni. Boże! Ach tak, dopiero teraz, będąc śmiertelnie przerażony, wzywa Go. Lecz czy On naprawdę jest tym, który pomaga temu, kto woła do Niego? Albo raczej stoi z daleka jako karzący Bóg, spoglądając obojętnie na ludzkie cierpienie?

Targany strachem i zeszywniały z zimna Dick wisi niby łupina na końcu wraku, który powoli, ale nieubłagalnie zagłębia się w nurt rzeki. Siły zaczynają go opuszczać. Jeszcze kilka chwil, jeszcze trochę, a potem... Nagle słyszy radosny okrzyk. Jest to głos Freda, który przeniknął wycie burzy! A więc pomoc nadchodzi! Dick nie może w to uwierzyć! Zwraca głowę w kierunku, w którym prawdopodobnie jest brzeg. Tak, stamtąd zbliża się światło. Chyba jakaś łódź...

Nadchodzi ratunek! Nadzieja dodaje mu siły. Podciąga się znowu nieco wyżej. Mężczyźni na skrzydle krzyczą z całych sił o pomoc. Dick nasłuchuje z wytężeniem, czy nadejdzie odpowiedź. Tak, słyszy głos człowieka, który chce im pomóc. Łódź się zbliża. Podpłynęła już tak blisko, że ją dostrzegli. Mała łódź, a w niej człowiek. Najpierw popłynęła w stronę skrzydła, którego rozpaczliwie trzymają się trzej mężczyźni.

– Mamy tu rannego – woła Fred – jego trzeba najpierw zabrać. Gdy Bill i Fred usadowili się w łódce, zanurzyła się ona prawie po krawędź.

– Łódź jest za mała i w dodatku przecieka – mówi ich wybawca. – Lecz nie było innej. Musicie wylewać wodę, podczas gdy ja będę wiosłował. Nie jesteśmy zbyt daleko od brzegu, lecz ta burza jest niebezpieczna.

Mężczyzna chwycił wiosła i odbił od wraku.

Wtem nad wodą rozległ się okrzyk trwogi, tak okropny, że mężczyźni siedzący w łodzi struchleli.

– Czy tam jeszcze ktoś jest? – zapytał rybak.

– To Dick – odpowiada Fred. – Myśleliśmy, że utonął!

– Pięciu mężczyzn to za dużo na tę łódź – mówi wybawiciel. – W ten sposób wszyscy zginiemy. Spójrzcie, jak głęboko się zanurzyliśmy!

– Ma pan słuszość, to niemożliwe – mówi Bill. – Nie możemy uratować Dicka.

– Nie odchodźcie! – ryczy Dick. – Pomóżcie mi! Na miłość boską, pomóżcie mi! Mężczyźni siedzący w łodzi zastygli w bezruchu...

– Na miłość boską! – powtarza cicho obcy człowiek. Zawraca łódź i powtórnie zmierza do wraku.

– Co pan robi! – woła Bill. – Przecież to niemożliwe! Wszyscy utoniemy, sam pan to powiedział!

Ale starzec nic nie odpowiedział. Zaczął wiosłować wzdłuż wraku i jak tylko zauważył Dicka, zręcznie skierował łódź tam, gdzie znajdował się potrzebujący pomocy. Podał wiosła Fredowi, a sam wspinał się na maszynę.

Wyciągnął mechanika z wody tak, jakby był on dzieckiem i posadził go w łodzi. Małe potknięcie, jeden silniejszy poryw wiatru, a mógłby nastąpić koniec.

– To jest niemożliwe! – woła Bill. – Łódź już teraz jest prawie pełna!

– Dlatego nie możecie tutaj dłużej pozostać – mówi stary człowiek. – Wiosłujcie tylko w przeciwnym kierunku do wraku. Tam jest brzeg, tam znajdziecie mój dom.

– Ale – jąka się Bill – co będzie z panem?

– Ja mam wspaniałego Zbawiciela. Mogę umrzeć, ale wasz przyjaciel nie, jak widzę.

– Tak nie może być! To zbyt wiele! – woła Fred.

W odpowiedzi starzec odepchnął łódź. Oniemiali mężczyźni patrzyli na postać stojącą na zanurzającym się wraku. Staczając walkę z żywiołem, zaczęli wypatrywać brzegu. Dick wydawał się nieprzytomny. Co jakiś czas podnosił głowę i spoglądał w kierunku maszyny. Nareszcie poczuli grunt pod nogami. Byli uratowani! Bill i Fred przenieśli Boba w bezpieczne miejsce, ale Dick pozostał w łodzi.

– Chodź, Dick – mówi w końcu Fred, lecz zastygł w przerażeniu, widząc, co czyni jego przyjaciel. Dick odepchnął czołno od brzegu i zniknął w ciemnościach!

– Dick, czyś ty oszalał?! – ryczy Fred. – Dick, wracaj!

W odpowiedzi usłyszał jedynie wycie wiatru. Dick niezmordowanie wiosłował. Spienione fale bryzgały w dziób łodzi. Mocnymi uderzeniami prowadził łódź poprzez huczącą wodę. Mimo tego, co przeżył w ostatnich godzinach, nie odczuwał w ogóle znużenia. Musiał być silny, musiał dotrzeć do wraku. Nie mógł pozostać z kolegami, dopóki człowiek, który zaryzykował dla niego swe życie, znajdował się tam, na tonącym wraku. Czołno kołysało się na falach, a wiosła z niezmienną regularnością zanurzały się w wodzie. Wiatr zmałał, lecz Dick nawet tego nie zauważył. Żył tylko jedną myślą: wrócić do wraku, aby uratować starca!

Wreszcie Dick przestał wiosłować i spojrzał wkoło siebie w nadziei odkrycia jakiejś części samolotu. Obrócił łódź i popłynął w przeciwnym kierunku. Z powodu otaczających go ciemności, nie mógł zorientować się w swoim położeniu. Czy czasem nie kręci się w kółko? Zrozumiał, że walczy dla przegranej sprawy, lecz nie chciał się z tym pogodzić. Musi odnaleźć tego człowieka. Do czołna zaczęła napływać woda, ale Dick wcale się tym nie zmartwił ani nie myślał odpocząć.

Na wschodzie nareszcie pojawił się brzask nowego dnia. Dick poczuł, że opuszczają go siły. Jego ramiona były ciężkie jak ołów, a plecy straszliwie bolały. Z trudem, coraz wolniej poruszał wiosłami, czasami zupełnie nieruchomiejąc.

Wtem, w pojawiającym się świetle porannym, gdy wiatr rozrzedził mgłę, ujrzał wrak. Okrzyk trwogi wyrwał się z jego ust. Z całej maszyny zobaczył tylko kawałek pionowego steru. Stary człowiek zginął!... Utonął porwany silnym strumieniem! Dick jak skamieniały stał w łodzi, która kołysała się na niespokojnej wodzie. Ręce zacisnął w pięści i wpił paznokcie w dłonie. Potem zaczął płakać jak dziecko. Ten człowiek utonął, oddał za niego swe życie, ponieważ on błagał go w Bożym imieniu, aby mu pomógł. Przed kilkoma godzinami powiedział Fredowi, żeby pokazał mu choć jednego człowieka, który naprawdę ufa Bogu. A więc widział go! A więc...

– O, Boże! – zawołał Dick, uderzając rękoma po twarzy. Wyczerpany opadł na ławkę. Czuł się rozbity, nic nieznaczący i nędzny. W wielkim bólu drgało jego serce, w którym odczuwał tak wielką pustkę. Wołał więc o zmiłowanie, o odkupienie, o pokój... O pokój z Bogiem, którego obecność odczuwał, gdy otaczały go ciemności śmierci. Do Boga, do którego wołał w swym

strachu i który dał mu się znaleźć i ocalił go wśród fal, gdy chciały go pochłonać.

Bóg, który jest tak daleko... Czyż nie jest On także zupełnie blisko?

– „Mam wspaniałego Zbawiciela!”. Czy to głos starca? Albo to tylko szum wiatru i szept fal?

– „Mam wspaniałego Zbawiciela. On oddał swe życie także za ciebie!”.

– Skąd pochodzi ten głos? Są to stare, dobrze znane słowa; słowa, które dawniej tak często słyszał, ale dla niego były bez wartości. Jak więc je usłyszał? Czy to głos samego Jezusa, który chce zamieszkać w jego zimnym, biednym sercu?

Na rzece kołysało się samotne czółno. Siedział w nim mężczyzna. To człowiek, o którego walczy Bóg. Jezus przecież przyszedł na ziemię, aby szukać zgubionych, aby dać ukojenie tym, którzy są utrudzeni i obciążeni, i załamują się pod ciężarem strachu, trudności i grzechu. On sam przecież poniósł sąd i karę za nasze grzechy.

Rozpoczął od żłobka, a skończył na krzyżu. On jednak zwyciężył! Teraz puka do drzwi serca Dicka. Dziecko Jezus z Betlejem, które stało się wielkim Odkupicielem z Golgoty.

Kilka godzin później Fred i Bill znaleźli swego przy-

jaciela nieprzytomnego w czółnie, które fale przyniosły do brzegu.

– Biedak... – westchnęli.

Lecz w niebie radowali się aniołowie z powodu nawrócenia się grzesznika (Łukasz 15,7). Czyż również starzec nie jest uczestnikiem tej radości?

*Mam wspaniałego Zbawiciela,
On wszędzie pomoc Swą mi śle;
O Jego cudach muszę świadczyć,
Niech każdy, każdy to wie!*

*Niechaj każdy to wie, niechaj każdy to wie!
Mam wspaniałego Zbawiciela!
Niech każdy, każdy to wie!*

Albowiem tak Bóg umiłował świat, że Syna swego jednorodzonego dał, aby każdy, kto weń wierzy, nie zginął, ale miał żywot wieczny – Ewangelia Jana 3,16

Rozpowszechnianie Literatury Chrześcijańskiej

40-116 Katowice ul. Cicha 22 63-520 Grabów n/Prosną ul. Ostrowska 1
59-920 Bogatynia ul. Kościuszki 60

e-mail:rlch@rlch.pl www.chrzescijanin.strefa.pl/-- http://rlch.pl/

*Albowiem zapłatą za grzech jest śmierć, lecz darem łaski Bożej jest
żywot wieczny w Chrystusie Jezusie, Panu naszym – Rzymian 6,23*